GŁOS MUZYCZNY

DODATEK SPECJALNY „GŁOSU WYBRZEŻA"

Nr 101 (10606) Gdańsk 28, 29 kwietnia 1984 r.

PPZ

Arston

Franek Kimono Story

kasety z nagraniami firmy

PPZ

Arston

do nabycia w holu

Teatru Muzycznego

Andrzej Korzyński

Jestem goły, moja mała

Jestem goły — moja mała,
Mama forsy mi nie dała.
Czym tu straszyć, co tu robić
Kogo trafić, jak zarobić.

Bramkarz Kwadrat znów udaje
Że mnie kurcze nie poznaje.
Mała, pokaż mu skarpety
Może da nam 2 bilety.
Już ładują, dają ostro
Można się pokręcić z siostrą
Otwórz Kwadrat — nie rób błota
Mam dla Ciebie Kaszalota.

Jestem goły — moja mała
Mama forsy mi nie dała
Nie urosnę, nie utyję
Jak nie wejdę, nie przeżyję.

Wpuszczaj Dziadek, jam Starucha
Chcę wykręcić karalucha.
Jestem człowiek z Sanepidu
Nie chcę Ci narobić wstydu.
Ale grają, niech mnie skręci
Szkoda stania — nie mam chęci.
Gruby wyje jak po Życie
Chyba zrobił dziurę w sicie.

Otwórz Kwadrat — mam zmiennika
Za godzinę chce patyka
Ta kapela od macochy
Nie zarobi na pończochy.
Wpuszczaj Kwadrat nie rób błota
Mam dla Ciebie Kaszalota.
Mała, pokaż mu skarpety
Może da nam 2 bilety.

PREMIERA! PREMIERA! PREMIERA! PREMIERA! PREMIERA! PREMIERA!

Andrzej Korzyński

Drugie Wejście Smoka

czyli

Franek Kimono Story

Gdynia Teatr Muzyczny

28 kwietnia 1984 r.

Autorzy tekstów:
Andrzej Korzyński, Paweł Binke, Stefan Friedman
oraz autorzy tekstów piosenek:
„Jednoręki bandyta" – Krzysztof Gradowski
„Pauker blues" – Marek Atkonis

Realizatorzy:

Jerzy Gruza
Reżyser

Marek Lewandowski
Scenograf

Ryszard Łada
Przygotowanie wokalne

Bogdan Jędrzejak
Wojciech Misiuro
Danuta Dunin-Wąsowicz
Choreografia

Leszek Kowalski
Asystent reżysera

Renata Godlewska
Dagmara Udymowska-Grecka
Asystentki scenografa

Anna Sapiego
Inspicjentka

Michał Czajewski
Sufler

Obsada:
Reżyser – Andrzej Pieczyński
Asystent – Daniel Saulski
Rozbirski – Józef Korzeniewski
Ula – Anna Dauksza
Franek Kimono – Wojciech Cygan
Zapowiadacz I – Andrzej Śledź
Smok – Zdzisław Tygielski
Kuba Zaklukiewicz
Mohamed – Andrzej Sulima-Popiel
Kelner – Henryk Gucz
Aktor – Józef koń
Zapowiadacz II – Piotr Siciński
Karateka III – Jacek Poks
Opój III – Szuwar – Józef Warecki
Opój I – Krzysztof Arsenowicz
CPN – Marian Wojtas
Charakteryzatorki
– Krystyna Wodzyńska
Jadwiga Sadlik

Chłopak z gitarą – Maciej Dunal
Strażak – Krzysztof Kolba
Mała – Katarzyna Cygan
Zorba – Leszek Kowalski
Ruda Julka – Teresa Gada
Czarna Elka – Urszula Polanowska
Blada Mary – Ewa Kamińska
Szef – Dariusz Siastacz
Dino – Jan Wodzyński
Ofiara Automatu – Maciej Dunal
Facet – Zdzisław Latoszewski
Małolat – Leszek Kowalski
Kaszalot – Urszula Skołek
Kwadrat – Jacek Poks
Pauker – Mirosław Biłyj
Gitarzyści – Jacek Banasikowski
Jarosław Ziętek
Popers – Piotr Gałbierz
Górnik I – Marian Wojtas
Górnik II – Mirosław Bednarek
Menago – Krzysztof Arsenowicz
Aerobik – Ewa Gierlińska
Andrzej Śledź
Maciaj Dunal
Krzysztof Kolba
Dwaj – Stefan Kożuro
Cezary Szewczyk
Karateka I – Edward Malinowski
Kolega – Czesław Baranowski
Sobowtór – Krzysztof Stasierowski
Mama – Wanda Dembek
Tata – Zygmunt Lebica
Rycerz – Zdzisław Latoszewski
Pielęgniarz I – Jacek Poks
Pielęgniarz II – Cezary Poks
Kobieta I – Urszula Polanowska
Kobieta II – Lucyna Drywa
Kobieta III – Maria Trzcińska
Muszkieter – Andrzej Sulima-Popiel
Zdzisław Tygielski
Reporterka – Zdzisława Specht
Operator – Jacek Piotrowski
Fan – Tadeusz Woszczyński
Kwas – Dariusz Majewski
Facet z Disco – Kazimierz Wrzosek
Lucy in the Sky
– Barbara Denkiewicz

(Dokończenie na str. 2)

Kim pan jest?

Rozmowa z Andrzejem Korzyńskim

— Czy Kimono to Pan?

— Skądże, przecież to Fronczewski.

— On się nie przyznaje...

— Wiem i mówi, że to ja.

— Proszę Pana, trzeba tę zagadkę wreszcie rozwiązać. Kim Pan wreszcie jest. Imię?

— Andrzej.

— Nazwisko?

— Korzyński.

— Zawód?

— Kompozytor.

— Miejsce urodzenia?

— Warszawa.

— Data?

— A po co data? Żona mówiła, że wyglądam staro, zgoliłem brodę i proszę — teraz pełny szpan w odcieniu szpakowatym. Taki szpak-szpan.

Fot. Grażyna Wójcik

— Czy Pan pali?

— Jeśli już to cygara, tylko kubańskie.

— Jak z piciem?

— W naszym kraju nie można nie pić.

— Wygląda na to, że jest Pan szczery... Chwileczkę, czy nie cierpi Pan przypadkiem na rozdwojenie jaźni?

— Jeszcze nie, ale myślę że to wkrótce nastąpi.

— Pewnie boi się Pan Franka?

— Jego nie. Ale odczuwam pewne lęki, że rąbną mi taki podatek wyrównawczy i się nie pozbieram.

— Poważnie?

— Sprawa jest poważna — nie można pracować, bo się nie opłaca!

— No to dlaczego Pan pracuje?

— Dla przyjemności. No i dlatego, że się 17 lat uczyłem zawodu. Żeby nie wyjść na idiotę wyjaśniam: tyle trwa nauka w szkołach muzycznych.

— Wróćmy do Franka. Jak Pan wpadł na ten pomysł?

— Najzwyczajniej. Ulica jest kopalnią pomysłów, trzeba tylko patrzeć na ziemię. No i warto oglądać telewizję, od czasu do czasu, żeby zrodziła się chęć rewanżu — odpłacić się za to, co oni tam pokazują...

— Zgoda, ale jak to było naprawdę?

— Najpierw ktoś, w pierwszych dniach stanu wojennego, wpadł na pomysł wyzwolenia tej rzeki zespołów rockowych. Ta „młoda generacja" (40-latki) demonstrowały publicznie swój bó brzucha. Poczułem się obolały. A jednocześnie było mi do śmiechu. Nas to rozśmieszało z Piotrkiem, z którym spotkaliśmy się już wcześniej, na planie „Kleksa". Postanowiliśmy zrobić coś w tym stylu.

(Ciąg dalszy na str. 2)

KONKURS! KONKURS! KONKURS! KONKURS! KONKURS! KONKURS! KONKURS! KONKURS!

Kto napisze prawdziwy życiorys Franka Kimono?

Wszyscy wiedzą kim jest

Franek Kimono

nikt nie zna jego tajemnicy życiorysu

NAPISZ ŻYCIORYS FRANKA KIMONO

na jednej stronie papieru podaniowego i złóż go w tajnej skrzyni przed kasami Teatru Muzycznego do 5 maja br.

Autorzy najprawdziwszych życiorysów Franka Kimono mają szanse na zdobycie pięciu nagród głównych: kaset z nagraniami **„Franek Kimono Story"** i biletów na „Drugie Wejście Smoka".

Wśród wszystkich uczestników konkursu rozlosowanych zostanie

dwadzieścia plakatów

TEATR MUZYCZNY – GDYNIA – TEATR MUZYCZNY

PPZ ARSTON – PPZ ARSTON – PPZ – ARSTON

Franek Kimono należy do wszystkich

Wywiad telefoniczny z p. Bianką Skórzewską dyr. artyst. PPZ „Arston" w Polsce

(Drugie Wejście Smoka (Dok. ze str. 1)
Obsada (cd.):

Modelowy Gość
– Zdzisław Dębowski
Ojciec I – Henryk Gucz
Ojciec II – Zygmunt Lebica
oraz
Balet Zespół wokalny
i
karatecy z „Karate Klub Gdynia"
– kierownik wyszkolenia: Jarosław Mejer

W przedstawieniu wykorzystano nagrania firmy Arston
oraz
piosenkę „Bruce Lee Karate Mistrz"
w wykonaniu
Piotra Fronczewskiego.

Res.: Czym jest „Arston"?

B. Skórzewska: „Arston" jest polonijną firmą, mającą pełne prawa fonograficzne w kraju i za granicą. Firma jest jeszcze w rozruchu, jeszcze raczkuje, ale już teraz mamy tę przyjemność, że możemy współpracować z p. Andrzejem Korzyńskim, czy z tak wybitnym artystą, jak Piotr Fronczewski. Czynimy wszystko, żeby propagować nasze nagrania. Komuś może się wydawać, że one promują się same, a to ciężka praca. Nie ukrywam, mamy pewne sukcesy. Przede wszystkim tempo wydawnicze...

Res.: Czy sukces „Arstonu" jest także sukcesem Franka Kimono?

B.S.: Uważam, że tak!

Res.: Kim jest wyznawca Franka Kimono, bo o wyznawcach chyba trzeba mówić, skoro słyszy się jego piosenki wszędzie?

B.S.: Po części już udzielił Pan sobie odpowiedzi. Nie mamy własnego ośrodka badania opinii, ale sądząc po ulicy...

Res.: Po salonach...

B.S.: ...także po salonach — zwolenników piosenek Franka Kimono można znaleźć wszędzie. Tu nie ma barier, Franek należy do wszystkich.

Res.: „By duży talent nie poniósł straty, trzeba zakupić japońskie graty" — tyle Franek Kimono, a co firma na to?

B.S.: To jest problem, przede wszystkim dla firmy. Montujemy własną tłocznię płyt, ale proszę zważyć, że rozpoczęliśmy działalność 28 listopada ubiegłego roku, natomiast biuro informacyjno-handlowe PPZ „Arston" istnieje od 2 stycznia tego roku. Mimo wkładu pracy, ciężkiej harówy, nie jest to proste. Poligrafia, okładka...

Res.: Zdążyła Pani być w Cannes, na targach MIDEM?!

B.S.: Rozmowy prowadziliśmy nie tylko tam, mamy kontakty z Japonią, USA, Finlandią, Republiką Federalną Niemiec — ale sprawa nie jest prosta. Franek Kimono to już pewien stereotyp kulturowy, żywy poprzez nasze realia — nie bardzo zrozumiałe poza granicami. Wersja angielska tekstu nie rozwiązuje sprawy, nawet gdyby to pisał najlepszy znawca slangu londyńskiego. Realia, realia — to jest bariera. Do tej samej muzyki trzeba byłoby napisać coś nowego. Można byłoby pomyśleć o promocji dyskotekowej samej muzyki, ale to nie bardzo nas interesuje. Nie chcielibyśmy zatracić żadnej wartości, którą wniosło pojawienie się Franka Kimono.

Res.: Jest Pani dobrej myśli?

B.S.: Po prostu chcę. Po prostu...

Res.: Dziękuję za rozmowę, życzę Frankowi Kimono — za Pani pośrednictwem — dalszych sukcesów. Życzę ich także firmie mając nadzieję, że będzie obecna na premierze „Drugiego Wejścia Smoka" w Teatrze Muzycznym w Gdyni.

B.S.: Dziękuję. Na pewno będziemy. Nie mamy zwyczaju opuszczać przyjaciół...

Res.: ...w biedzie. Ale to będzie sukces!

ROZMAWIAŁ: RES.

Andrzej Korzyński

Don't cry Mona Lisa

Don't cry MONA LISA
I'm sweet KIMONO,
Piano, piano Bambina
Cara mia carina.

Come va, comment ça va
Va bene bambina?
Let me, let me, le me cry
Senza Te carina.

Come va, comment ça va
Mi piace Bambina.

Let me, let me, le me go
Senza Te carina.

I'm sorry, I'love you
I'm sweet KIMONO
Ti piace il vino?
Mia vitamino(a)?

Come va – comment ça va
come sta – ça va, ca va...
ça va...

Laureat konkursu plastycznego „Mój film" (nagroda za plakat) „Głosu Wybrzeża" i Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Gdańsku Marcin Wachulewicz tak rysuje Franka Kimono.

Kim pan jest?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Kto wymyślił Franka?

— Żaden z nas. Ojcem chrzestnym jest Antek Wrański, znany dziennikarz radiowy. Trzeba było wymyśleć coś do tego „Bruce Lee karate mistrz" i Antek zawołał: Kimono! To jego.

— Ale teksty są pańskie. Nigdy przedtem nie pisywał Pan tekstów, a tu raptem debiut, co Pana natchnęło?

— Natchnienie. Może jakaś wewnętrzna potrzeba.

— Do żartów, mam nadzieję. Ale poważnie: czy się Pan nie czuje trochę starszym wujkiem, który na specyficzną podkulturę młodzieżową zareagował śmieszkiem, chichotem?

— Starszym, może tak. Ale nie złośliwym. Owszem śmieję się, a nawet często zaśmiewam do rozpuku. Tyle, że Franek, myślę, operuje czymś w rodzaju humoru angielskiego. Nie wiem, czy to dobrze powiedziane, tak jak nie wiem, czy wszyscy lubią ten rodzaj humoru. Sam zaś jestem zdania, że można się śmiać zawsze, ze wszystkiego, wszędzie, oczywiście jeśli się przy tym nikogo nie obraża. A najbardziej śmiać się z siebie! Mam niezliczone sygnały, że wszystko razem w wydaniu Franka jest odbierane z szaloną życzliwością.

— Ale jednak te miny, pozy, perskie oka — niedaleko padło jabłko od jabłoni — od rocka, panka, metala i to heavy.

— Niedaleko, bo w tym ruchu młodej muzyki jest wiele, co ja mówię, większość amatorszczyzny, niefachowości.

— Co Pan mówi, młodzież to lubi!

— Ja też, ale tylko niektóre kapele.

— Które?

— Bajm, bo lubię Beatę Koziarak, Lady Pank, ponieważ podoba się mojemu synowi, Maanam — za całość. To świetne zespoły, nie gorsze niż zachodnie.

— Wie Pan, co się nosi...

— I znam to zjawisko. Nie od dziś. Obserwuję je od czasów Presleya. Sam siedziałem przy głośniku, kołysałem się na prywatkach, nosiłem pierezę, czyli odpowiedni włos. Tylko przebrać się było trudniej, bo łapali — w szkole, w telewizji... Jednym słowem sytuacja nie zmieniła się wiele. Wtedy też kłopoty były te same: fryzjer i brak ciuchów.

— Żarty żartami, ale czy Pan zdaje sobie sprawę z tego, że Kimono to pierwsza postać od czasów Waterego Wątróbki, która uzyskała taką autonomię, taką popularność, jest jak żywa. Czy to przypadek, czy też chciał Pan być Wiechem rock and rolla?

— No nie, na pewno tego nie kalkulowałem aż tak. Powiem więcej, to porównanie nigdy nie przyszło mi do głowy.

— A widzi Pan.

— Widzę i myślę, że cała ta afera jest warta, żeby się nad nie kiedyś, gdzieś dłużej zastanowić.

— Jednym słowem mamy przyjąć, że pomysł z kolegą Franciszkiem powstał z głowy, czyli z niczego.

— To jest słuszna ocena. Może zresztą nie umiem ocenić tego zjawiska należycie, bo nie spotykam się, tak jak kolega Fronczewski, z taką wielką ilością bezpośrednich dowodów przerażająco ogromnej sympatii.

— Ma Pan szczęście.

— Mam. I modlę się do Boga, żebym nie zechciał śpiewać...

— A Fronczewski śpiewa i ma za swoje. Potrąca także strunę obyczajową, folkloru, który niezmiennie budzi sympatię. W tym tkwi połowa waszego sukcesu.

— Na pewno tak. W tej postaci zapisał się nasz model Polaka, który odwiecznie wzbudza sympatię: obibok, cwaniak udający kogoś innego, działający na zasadzie niebieskiego ptaszka.

— No i trochę taki bon vivant dla ubogich. Nie jest Pan o nim najlepszego zdania?

— Ale wierzę głęboko, że dzieci zbyt grzeczne nie wychodzą na ludzi. Jak czytamy życiorysy sławnych ludzi, to się okazuje, że byli niegrzeczni, krnąbrni, źle się uczyli, po czym z niewiadomych powodów zostawali ministrami.

— Czy Pan też tak zaczynał?

— Podobnie. Zawsze zdolnościami nadrabiałem to, co inni zdobywali ciężką pracą.

— No, skromny to Pan nie jest.

— Może i tak, ale udaję skromnego.

— I co? I co?

— Sam talent to niewiele. Sprawa jednak wygląda daleko nieciekawiej dla odbiorcy efektów naszej pracy. Taki sobie przebiik poprzedzają godziny, tygodnie żmudnej pisaniny, ślęczenia przy klawiaturze.

Filozofia getrów

W Filmowym Serwisie Prasowym czytam, że w filmie „Widziałem narodziny nowego świata" gra Sydney Rome. Cóż, kiedy natychmiast przypomina mi się zdjęcie aktorki w gazecie. W Filmowym Serwisie piszą, że studiowała sztukę dramatyczną w Carnegie Tech, staż aktorski odbyła w Pasadena Playhouse. Pod koniec lat 60-tych wyjechała do Rzymu, na zdjęcia próbne do roli w filmie „Candy".

I dalej, że choć roli nie dostała zaczęła grać w filmach europejskich. Tytułów wybranych, wiele. Np. 1975 rok — „That Lucky Touch", „Il faut vivre dangereusement", „Dziewczyna do dziecka", „40 gradi sotto il lenzuolo". Itd. Ja tymczasem wciąż widzę zdjęcie z gazety. Aktorka (ta sama?!) w ni to kostiumie kąpielowym, ni to trykocie, bardzo wysoko wyciętym na biodrach, uśmiecha się jakby wampirycznie. Na rękach ma ni to kastety, ni to kastaniety. Na nogach jakieś rury: getry!

W ten właśnie sposób gwiazda filmowa zmienia się w gwiazdę aerobicu. Podobnie, jak to się stało z Jane Fondą oraz Dorotą Stalińską. Osoby bywałe dementują zresztą wiadomości, jakoby to Jane Fonda wymyśliła aerobic. Wprost przeciwnie, wymyślił go doktor Cooper, dla astronautów. Przeczytałem o tym w „Przekroju" (22 I 84). Tamże, J. Fonda, zdemaskowana jako osoba, która tylko spopularyzowała aerobic, protestuje gwałtownie przeciwko kontrolowaniu pulsu w trakcie.

„Jeśli kobieta chce mieć silne ciało musi się wysilać. Być dosłownie sercem przy tych ćwiczeniach"

W Polsce ćwiczyła aerobic także Olga Kuźmińska, piękna, zwinna blondyna. Jak się okazuje, także doktor. Powstaje pytanie, jakie warunki trzeba spełnić, żeby prowadzić ćwiczenia gwiezdne. Kobieta to pewne. Gwiazda? Chyba tak. Blondynka? — jak S. Rome, D. Stalińska, J. Fonda (niekiedy?).

„Ilustrowany Magazyn Turystyczny Światowid" (luty 1984) pomógł mi rozwiązać wiele wątpliwości. Na okładce panie w getrach, spodniach, spodenkach, sweterkach i szarfach (im więcej, tym lepiej). Obok nich delikatnie sformułowane pytanie retoryczne: Aerobic czyli trening dla turystyki?

Wewnątrz, pod tym samym tytułem, duży tekst Anny Dubrawskiej. Na zdjęciach dwie dziewczyny najwyraźniej brunetki, superzgrabne i nader szczupłe. Czyżby były to Zofia Bielczyk i Mariola Bojarska? Gdyby kto nie wiedział Zofia Bielczyk to płotkarka, a Mariola Bojarska to gimnastyczka artystyczna. Zofia Bielczyk w 1980 roku na mistrzostwach Europy w biegu na 60 m przez płotki zdobyła złoty medal i pobiła rekord świata, a w rok później, na halowych mistrzostwach Europy na 50 m, ten sukces powtórzyła.

Teraz, jak wynika z tekstu, obie prowadzą aerobic w klubie „Relax" na warszawskim AWF. Są przekonane, że udręczonym polskim kobietom aerobic daje chwilę wytchnienia i radości (i jak można się domyślić, mężczyzn na swoje zajęcia nie przyjmują). Super męska gimnastyka dla tych, którzy mieli podbić kosmos zmieniła się w rytuał zamkniętego świata kobiet. Zanim jeszcze wymyślono aerobic czytałam, że udręczona większość rzadziej popada we frustracje i przejawia agresję, ponieważ potrafi sobie znaleźć namiastki zabawek i zabaw dzieciństwa. Na przykład kosmetyki...

Tymczasem dzisiaj Anna Dubrawska napisała: „Jedna z moich rozmówczyń zwróciła również uwagę na fakt, że rozwija pomysłowość. Nie tylko pod względem układów ruchowych, ale również w dziedzinie stroju. Strój zalecany jest taki: rajtuzy bez stóp, wełniane getry, jednoczęściowy kostium kąpielowy albo barwna koszulka, a także przepaska na czoło. A ponieważ o to wszystko u nas niełatwo — uczestniczki zajęć prześcigają się w inwencji. Obcinają rękawy swetrów i zamieniają je na kolorowe getry, obwiązują czoła jaskrawymi, pożyczonymi od córek wstążkami i czują się jak pełne radości dzieci bawiące się w teatr".

Wyznaję, że poszłam na aerobic z nie obwiązanym czołem. Ale Danka — kazała być na „ty" — jest tolerancyjna. Sama, owszem nosi rajtuzy bez stóp, getry, trykot i szarfę. Blondynka, fryzura bodajże „na mokrą Włoszkę". Lubię Dankę, bo z nią czuję się pewnie. Czasem trochę na nas krzyczy — „Dawaj! Dawaj!" lub każe sobie wyobrażać, że ciągniemy linę. Czasem wskazuje nam gdzieś na horyzoncie nieosiągalną czekoladę, a my suniemy do niej na siedząco, co wzmacnia mięśnie pośladków. Potem trzeba w tył i wtedy uśmiechnięta i wcale nie zmęczona Danka mówi kategorycznym tonem: „Odpychamy się! Czekolada won! Chcemy być zgrabne!". „Głośne oddychanie na „Puff!" należy, owszem, do dobrego tonu.

Danka też mówi, że to nie Jane Fonda, a doktor Cooper wymyślił aerobic. Powiedziała też, że aerobic, to coś więcej, niż gimnastyka. To styl, a nawet filozofia życia. I dlatego będę chodzić na zajęcia.

Filozofia, najlepiej indyjska, karma z karmy, mikroelementy i getry. Chwytamy wszystko, zwłaszcza jeśli po umiarkowanej cenie uda nam się kupić broszurę dla wtajemniczonych w antykwariacie.

Np. „Jogasutry Patandżalego" (200 zł), fragment „Jogasikha — Upaniszad":

1. Szczyt wam obwieszczę jogi,
to szczyt wszelakiej wiedzy,
Kto zgłębia słowo święte,
ten się pozbywa trwogi.

2. w postawie lotosowej,
lub jak się mu podoba,
wpatrzony w koniec nosa,
złożywszy ręce, nogi.

Aerobic, karate, tajemnica Wschodu... Te wszystkie snobizmy odbija świat Franka Kimono. Prawie co tydzień Franek podaje swoje piosenki w „Radarze" (tygodniku pracy twórczej), a ostatnio doczekał się nawet plakatu autorstwa znanych artystów. Piosenki Korzyńskiego śpiewane przez Fronczewskiego, pastisz, który kupiła ulica. Pastisz tak udany, że potraktowano go serio. Jeżeli więc chcemy dorastać do filozofii naszych czasów, słuchajmy dobrze. Uczmy się, aby nie pomylić karate z kung-fu, dyskdżokeja z dżokejem, bramkarza z wykidajłą, aerobicu z jogą. I co najważniejsze, getrów z berlaczami.

„Nadszedł już niestety koniec — pa, pa robią piękne dłonie. Koniec, koniec gimnastyki — czas już jechać do fabryki".

Pa!

EWA

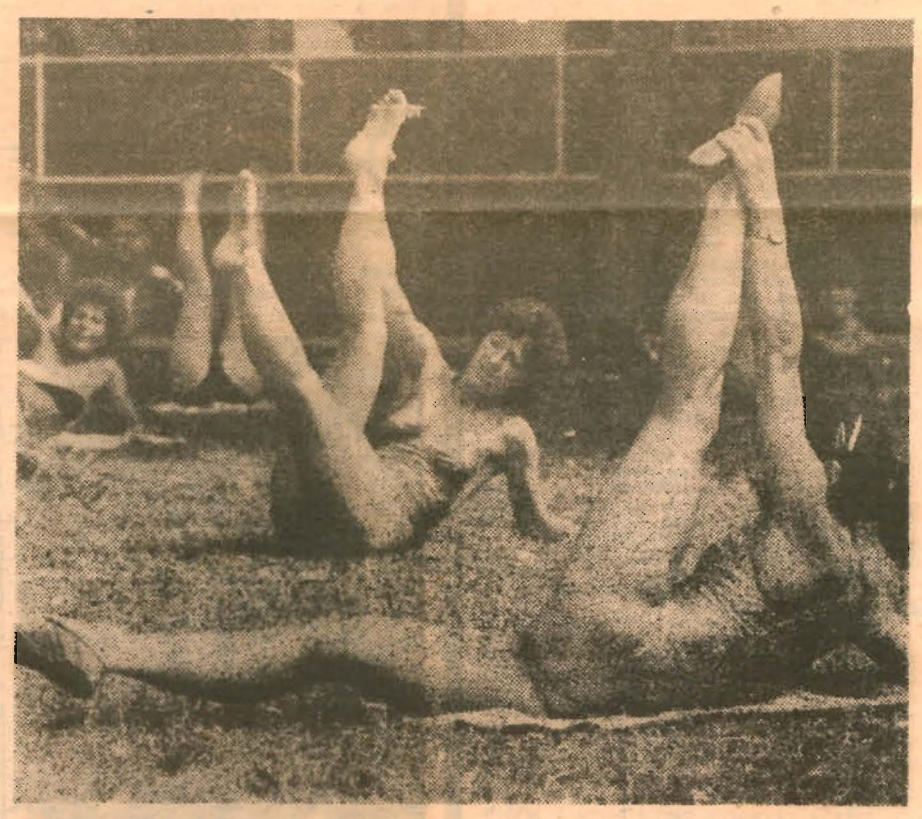

Fot. Z. Kosycarz

Andrzej Korzyński

Gimnastyka aerobik

Gimnastyka Aerobik – sport dla
niewyżytych kobit
Prujesz swoje piękne swetry – robisz
z nich koszmarne getry.
Bujny kształt kobiecy, śliczny –
wkładasz w kostium elastyczny.
Ciało twe spragnione ruchu –
gimnastykuj w nowym duchu.
Trener już nastawia płyty – podkład
pod aerobity.
Coś do picia dla ochłody –
przygotował trener młody.

Leci już pierwsza muzyka
kładzie się do aerobica
Leżąc płasko, od podłogi
W rytm podnosisz obie nogi
W górę piersi, w dół miednicę
Imitujesz gąsienicę.
To jest numer zabroniony
Przecież to są matki, żony
oraz cudze narzeczone
W gimnastyce niedouczone.

Wszyscy pod muzykę rege
– najpierw wolno potem biegiem
Skok przez konia pod foxtrota –
czujesz w sobie zwinność kota
Trener ciągle wciska gaz – każe
ćwiczyć raz, raz, raz
Dosyć ruchu wszyscy mają – ze
zmęczenia umierają
Panie palą papierosy – poprawiają
sobie włosy
Jeszcze łyczek dla ochłody –
podkreślenie swej urody.

Leci druga już muzyka
Kładziesz się do aerobica...

Nadszedł już niestety koniec – pa,
pa robią piękne dłonie
Koniec, koniec gimnastyki – czas
już jechać do fabryki
Koniec, koniec gimnastyki – czas
już jechać do fabryki...

— Kompozytor zwierza się, jak wygląda jego dzień pracy...

— Nie zawsze wygląda. Dzwonią telefony, dziecko wraca ze szkoły, a żona akurat wyjechała. U sąsiadów niemiłosiernie wyje pies, ponieważ wychodzą i zostawiają go na wiele godzin.

— No bo też nie wygląda Pan na osobę o usystematyzowanym trybie życia.

— Myli się Pani. Ja jestem ze starej szkoły, w której termin to rzecz święta. Nie potrafię zawieść nikogo i mam zwyczaj dotrzymywać słowa. Kiedy więc termin pili, nic dla mnie nie istnieje poza pracą. I nic mi wtedy nie przeszkadza, nawet ten pies, któremu zresztą bardzo współczuję.

— Powiadają, że Pan się zestarzał, a nawet zdziecinniał, bo się Pan wdał w tę aferę z Kleksem.

— Czytając Brzechwę trzeba mieć radość dziecka! Ale głównym sprawcą całego zamieszania jest przecież Krzysztof Gradowski, który już właśnie spakował walizki, żeby kręcić „Przygody Kleksa".

— Czy Kleks będzie serialem?

— No nie, ja nie czuję się na siłach.

— No, ale gdyby co do czego doszło?

— To może i tak. Dla dzieci i młodzieży fajnie się pisze. Nie wolno oszukiwać, ale też nie jest się oszukanym. Oceny są jednoznaczne i sprawiedliwe. Dla kogoś takiego jak ja, to nawet sprawa komfortu psychicznego — słyszeć całą prawdę.

— Podejrzewam, że ma Pan w domu własnego krytyka.

— O tak, Mikołaj bardzo często się krzywi.

— Franka też krytykował?

— Czasem. Ale nie tyle krytyk, co mi rośnie konkurencja. Mikuś też pisze teksty.

— No więc kto napisał te do Franka Kimono?

— Andrzej Spot.

— Aha... No to teraz z innej beczki. Proszę Pana, czy nigdy nie otwiera pan tych swoich „Żółtych kalendarzy"?

— Nie mam potrzeby. Ja się nigdy nie przywiązuję do produktów własnej twórczości. To nie ołtarzyk. Traktuję to jako zabawę.

— Ale ma Pan na sumieniu pokolenie dzisiejszych 30-latków, które od rana do wieczora, tak jak dziś śpiewa się „Polamanola", nuciły te „Kormorany".

— Pewnie panie śpiewały też „Kochać, jak to łatwo powiedzieć..."

— Odpowiedzialność spada na Pana. Ale poważnie — szlagiery pisywał Pan od niechcenia, już się Pan wstydzi?

— Nic podobnego. Nigdy nie deprecjonowałem piosenki. I uważam, że to tani chwyt kiedy ktoś mówi: żyję z przeboju, ale wolę większe formy. To kokieteria.

— Ale Pan woli. Pański żywioł to muzyka filmowa, baletowa, muzyka instrumentalna.

— To mnie pasjonuje. Właśnie warsztat, właśnie instrumentarium.

— Pasja szlachetna, ale chyba trudna do zaspokojenia. Dziś nie mamy nawet akordeonów, nie mówiąc o czym innym.

— A dlaczego: nie mówiąc. Mówmy! Jeśli tak dalej pójdzie będziemy grać nawet nie na flecie prostym, bo też bywa z nim krucho, ale na fujarce pastuszej, własnoręcznie wyciętej z gałązek wierzbowych... Naturalnie każdy kompozytor jakoś sobie radzi, rzecz jasna nie licząc się z kosztami. Służę przykładem — zakup jednego syntezatora to suma mniej więcej taka, jaką pan minister finansów dał nam na rok, na całą rodzinę: okrągły milion czyli 1200 dolarów.

— My znowu o pieniądzach, a miało być o sztuce. O sztuce „Drugie wejście smoka", naturalnie. Co to jest? Musical, operetka, wodewil?

— Najchętniej użyłbym nowego określenia, powiedzmy „opereta". Czyli taki sobie spektakl, w którym się sporo dzieje i dużo śpiewa. Przyznam się, że do premiery niczego nie oglądam, lubię być zaskoczony, nie jeżdżę na próby. I tego też nie widziałem. Ale mam całkowite zaufanie i niezachwianą pewność, że los, który w moją stronę skierował Jurka Grużę i Stefana Friedmana, ten los się do nas uśmiechnie.

— Dobrze, dobrze, ale podobno jest to rzecz o Franku bez Franka.

— Naturalnie, oczywiście, ależ tak! Nie mogę przecież podcinać gałęzi, na której razem z Frankiem siedzę. Myślę, że u podstaw sukcesu, powodzenia stworzenia legendy Kimona leży prosty fakt: że tej postaci właściwie nie ma. Kto go widział? Podszył się pod niego Fronczewski, ale to postać, nie osoba...

— Teraz wszystko jasne. Ale dlaczego wybrał Pan Gdynię na miejsce premiery tej operety?

— Ponieważ wszystkie drogi (morskie) prowadzą do Gdyni.

— Ma Pan ostatnie słowo skazańca, przepraszam, kompozytora-autora. Oczywiście w odpowiedzi na pytanie. Jak się Pan do tej premiery przygotował?

— Dobrze. Mówiłem na początku, że zgoliłem brodę. Chociaż tak chciałem z nią doczekać do mojego przyszłorocznego jubileuszu, 20-lecia pracy artystycznej. Trudno, stało się. Czegóż się nie robi dla sztuki...

Rozmawiała:
KRYSTYNA GUCEWICZ

Żyć dla karate

Z Jarosławem Mejerem, kierownikiem wyszkolenia w „Karate" Klub Gdynia, rozmawiam w czasie próby „Drugiego wejścia smoka". Legenda o karatekach w Teatrze Muzycznym okazała się prawdą. Wystąpi ich około 30. A jeszcze przedtem mój rozmówca wystąpił jako konsultant przy ćwiczeniach z aktorami. Na próbie Czesław Baranowski i Andrzej Pieczyński walczą — w tempie zwolnionym (podobno jeszcze trudniej). Nie próbuję. Ale w tempie szybkim, poruszona oglądanym baletem walki, zadaję kilka pytań.

— Jaką rolę odgrywa karate w Pana życiu; żyje Pan z karate, czy dla karate?

— Żyję tylko i wyłącznie karate. To znaczy: żyję z karate i żyje dla karate. Zacząłem ćwiczyć w 1976 roku. Jak każdy

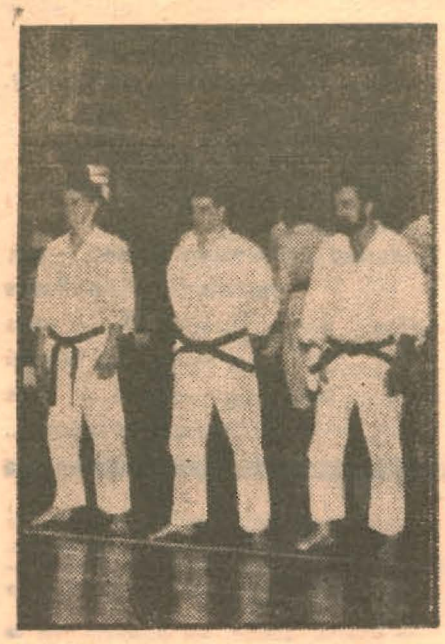

z młodych ludzi w takiej sytuacji marzyłem, że opanuję — absolutnie wszystko — w ciągu paru miesięcy. Przyszedłem do tego właśnie klubu. Potem, pozbawiony złudzeń co do łatwości poznania uniwersalnego sekretu walki, miałem jednak szczęście — dzięki pracy kolegów i mojej — że czasem powodziło mi się na zawodach. W sposób naturalny karate stawało się moim zawodem, choć początkowo byłem tylko bez interesownie zafascynowany. Po prostu, zacząłem pomagać kolegom w klubie jako instruktor. Mój czas wolny kurczył się. Teraz nie mam go zupełnie, nawiasem mówiąc. Zacząłem pracować w tym samym klubie, gdzie pierwszy raz przyszedłem na trening. I tak cały mój czas poświęcam klubowi i karate.

— Czy nie sądzi Pan, że jest wiele nieporozumień wokół tej dyscypliny. Może spowodowanych filmami — „Wejściem smoka" i „Huczącym ogniem"?

— Przede wszystkim są nieporozumienia. Dobrze się jednak stało, że zakupiono te filmy. Z naszego punktu widzenia przynoszą one więcej pożytku, niż szkody. Pokazują sztukę wschodniej walki z dobrej strony — mimo że jest to brutalne i niebezpieczne.

— Najwięcej przeciwników ma karate chyba w sprawie osławionego już nunczako. Było to przecież narzędzie w głośnej, tragicznej sprawie, zakończonej śmiercią.

— Nunczako? My pracujemy nad uświadomieniem ludzi, którzy nie mają pojęcia o karate. Należy rozróżniać karate i inne sztuki walki. Używanie nunczako to nie jest karate. Można ćwiczyć uderzenia, walkę kijem, krótkimi pałkami i inną bronią wschodnią nie ćwicząc karate i nie mając w ogóle o nim pojęcia. Tak na ogół jest. O ile wiem, ludzie, którzy ćwiczą w tej chwili w klubie, nie mają czasu na nunczako i inne „przybory". Sam próbuję uczyć się teraz sztuki używania broni zwanej sai. Jest to przyrząd używany na Wschodzie do sadzenia ryżu, który później stał się bronią. Ale karate zajmuje mi tyle czasu, że nie wystarcza go na walkę sai. Zawsze jest coś do poprawienia, do nauczenia w karate. Znam w tej chwili około 25 kata i żeby przećwiczyć każde potrzebuję 2—3 godzin dziennie.

— Czym więc jest to tak absorbujące karate, skoro jak Pan wspomniał, tylko sobotę poświęca Pan rodzinie, a w zwykłe dni pracuje Pan od 9—21. Celem życia? Sportem? Może filozofią?

— Dla mnie sztuka walki. I w tej chwili jest dla mnie formą życia. A sposobem życia jest, kiedy zbliża się wyjazd na zawody lub mistrzostwa.

— Czy my mówimy o karate, czy kung-fu? Pojęcia te przez nie wtajemniczonych używane są często wymiennie.

— Różnica jest kolosalna, chociaż karate jakoby wywodzi się z kung-fu. Ale jest sztuką Okinawy i ruchy karate naśladują walkę białą bronią. Przypomnę tu fakt znany wszystkim zainteresowanym, że właśnie na Okinawie w dawnych czasach z powodu zakazu używania białej broni i jakichkolwiek przedmiotów metalowych — ludzie uczyli się używać w walce rąk i nóg. Wszystko to odbywało się w kompletnej tajemnicy, nocami, w ukryciu. Natomiast w późniejszym czasie jeden ze znanych nam mistrzów karate Gichon Funakoshi w wieku XX wyruszył z Okinawy do Japonii w celu pokazania i propagowania tej nieznanej sztuki walki. Jako że karate było w Japonii nieznane, otoczone wielką legendą, występował na pokazach przed cesarzem. Dostał zezwolenie na otwarcie sekcji karate przy uczelniach wyższych. W ten sposób zaczął się rozwój karate w Japonii — mówiąc oczywiście w dużym skrócie. Zaznaczmy, że Funakoshi nie uczył walki. Prezentował karate w formie kata. I dopiero jego uczniowie zaczęli ćwiczyć walkę na treningach. Od tego mistrza powstał styl zwany shotokan. Jest to obecnie jeden z najpopularniejszych stylów karate w Polsce — i na świecie. Tzw. karate tradycyjne. I to jest właśnie to.

— Obserwowałam Pana na próbie. Podejrzewam, że wykorzystywanie karate w przedstawieniu; w celu z lekka parodystycznym wydaje się Panu nieomal... profanacją.

— Podejrzewam, że gdyby kolega Baranowski miał mnie uczyć kwestii aktorskich odczuwałby to podobnie.

Przyznam, że raczej tak to odczuwam. Otóż w historii karate każdy ruch coś oznacza. Nie można wykonywać go ot, tak sobie. Dlatego jest dla mnie bardzo trudne uczenie karate tak, jak robię to w teatrze.

Niezależnie od moich wewnętrznych oporów wiem przecież dobrze, że w tym wypadku praca na poważnie nie miałaby sensu. Taka sztuka ma szansę przebicia się tylko na wesoło. I cóż, w „Drugim wejściu smoka" karate to tylko epizod.

Rozmawiała:

EWA MOSKALÓWNA

Świat dysco

Przyciemnione kąty, pulsujący kolorami parkiet, migotanie lampki stroboskopowej, która ujawni najmniejszą plombę w zębie i ogłuszająca, porywająca, obezwładniająca muzyka — to dyskoteka. Możemy do niej zajść ot tak, po drodze i wszystko będzie dobrze, bo tu nikt nie zażąda krawata, ale możemy się też do niej wybrać. A skoro się wybieramy, to musimy się ubrać. Według praw i obowiązków.

Dyskoteka daje nam trzy przywileje: prawo do luzu, prawo do szpanu i prawo do zmiany osobowości. Wszystko to zrealizujemy poprzez ubiór, który nas określi, bo przecież w dyskotece nie prowadzimy dysputu nad marnością tego świata, tylko jesteśmy i tańczymy. No więc — w czym do dyskoteki?

Przede wszystkim z fantazją. Do dżinsów i adidasów można założyć trykotowy podkoszulek lub takąż bluzę, ale czy nie ciekawiej będzie wyglądać koronkowa romantyczność z całkiem innego świata, czy skórzany battledress na gołe ciało, rozpięty, jak się da najdalej? To ogólnie, a szczegółowo nosimy się tak:

— wąsko dołem, szeroko górą,

— szeroko dołem, wąsko, a raczej mało górą;

— umiarkowanie wąsko lub szeroko i tu, i tu.

Po kolei. To pierwsze to może być skórzana, prosta spódnica mini z dużą bluzą, najlepiej trykotką, tak dużą i długą, że spódnicę ledwie spod niej widać. Na nogach krótkie botki lub lekkie pantofle i odpowiedniej do tego grubości getry. Ten zestaw odmienimy nie do poznania, gdy zamiast bluzy założymy błyszczącą marynarkę, najlepiej złotą, też, oczywiście, dużą i długą. Zrozumiałe, że getry muszą się także błyszczeć.

Drugi typ zawiera w sobie więcej możliwości, bo w grę wchodzą i spódnice, i spodnie, na dodatek najróżniejszej długości. Spodnie mogą być prawie każde, byle szerokie, a więc tradycyjne już dziś „marchewki", nieco młodsze bryczesy i pumpy, wreszcie mało na razie popularne bermudy i szorty tak obfite, że właściwie nie wiadomo, czy to spodnie. I w spódnicach duży wybór, od najdłuższych, po mini. W dłuższych nie ma ograniczeń — mogą być proste, kloszowe, falbaniaste, podkasane nieco z jednej strony lub o nierównym dole. Mini natomiast musi być z falbanek, albo z kilku różnokolorowych, we „wściekłym" zestawie, albo z bieliźnianych, obszytych koronką — czy pamiętacie, jak cudownie właśnie w takiej niby-halce wyglądała Kora?

Mała góra to nie byle trykotka, ale trykotka z charakterem. Na przykład żywcem ściągnięta z początków rocka mała

czarna z dużym owalnym dekoltem (większym na plecach) i rękawami do połowy przedramienia. Albo coś fikuśnego, tylko z jednym rękawem lub z jednym rękawem i z cieniutką szelką na drugim ramieniu. Słowem — wolna wola i nożyczki, jeśli się nie da inaczej: tu wyciąć, tu dołożyć i będzie bardzo dobrze.

Trzeci typ to właściwie sukienki mini i pseudo-mini, czyli nieco dłuższe. Te sukienki są zupełnie równe na całej długości, więc sprawiają wrażenie, jakby górą były nieco szersze. Tu sobie możemy poszaleć z asymetrią, wykorzystując ją w kroju, zestawie kolorów, w doborze dodatków. Wszelkie skośne cięcia, często wypełnione innym kolorem, odchylone klapy, wszyte w najmniej przewidzianych miejscach i zawsze niedopięte zamki błyskawiczne, niezliczona ilość butonów i każdy inny, byle dobry, pomysł, zmieści się w takiej niepozornej mini. Do mini także zakładamy getry, a dla odmiany można spróbować innego rozwiązania: mini i bardzo wysokie szpilki, koniecznie z jaskrawymi, cienkimi skarpetkami.

Nie koniec na tym. Mamy jeszcze w zapasie cały styl kosmiczny, czyli kombinezony, w sam raz do dyskoteki, bo wygodne i błyszczące. W tych kombinezonach połysk jest rzeczą bardzo istotną, nieomal tak ważną, jak krój. Na upartego można się obejść dobrze nabłyszczoną maderą, ale lepsze są choćby miejscami wszelkie materiały lureksopodobne. I znowu zamki, zatrzaski, klapy, asymetria i obowiązkowo stojący, nawet czasem specjalnie usztywniony, kołnierz — niby nic, ale sprawdźcie na własnej skórze jak wydłuży całą sylwetkę i przyda jej stylu asów kosmicznych przestworzy.

„Królowa dysco". Rys. Monika Sobczak

A poza tym rozglądajmy się dokoła i **wykorzystujmy to, co niesie życie. Szaleństwem dnia dzisiejszego jest aerobic.** Czy nie można przenieść go częściowo do pokrewnej przecież dyskoteki, ubierając, na przykład, obcisły, trykotowy kombinezon, skąpy górą, tenisówki i getry? Nie zapomnijmy też o przepasce na głowę, bo liczy się całość.

Właśnie — głowa. Mamy jeszcze, oprócz ubranego już ciała, głowę, włosy, uszy i musimy o nich pamiętać. Osobiście nie przepadam, gdy w ferworze tańca majta mi ktoś włosami po twarzy. Byle rzemyk wokół głowy, nisko na czole, załatwi tę sprawę, a przy okazji odegra rolę modnego akcentu i odsłoni, na przykład, jedno ucho, eksponując wspaniały, ruchliwy i połyskliwy kolczyk, którego inaczej w ogóle nie byłoby widać. Znów kłania się asymetria, i w ozdobach, i we fryzurach, nawet przy krótkich włosach, które powinny być z jednej strony dłuższe, niezależnie od tego, czy są kręcone, czy proste, naturalne czy z brylantyną.

Tyle o naszych prawach. Są jednak i obowiązki wobec dyskoteki, zasady, których nie należy łamać, bo obrócą się przeciwko nam. Niedopuszczalny jest brak makijażu, więcej — trzeba w nim odrobinkę przesadzić: nałożyć o ton wyraźniejsze cienie, jeśli nie robimy się na złoto; pomalować mocniej usta lub przynajmniej je nabłyszczyć: rzucić trochę różu na policzki, choć na co dzień już go nie używamy.

Cóż z tego, że modny jest kolor szary? Na nic, jeśli nie srebrzysty, nam się tu nie przyda. Ale pozostaje modna biel, czerwień i czerń, więc wybór jest, nie mówiąc już o wszelkich błyskotkach, choćby i na różowej bazie.

Nie można też wystroić się do dyskoteki w obcisłą sukienkę w stylu retro i kapelusz z woalką, chyba że mamy ochotę na odegranie roli femme fatale, która przesiedzi całą noc przy barze, paląc papierosy w długiej lufce i popijając martini.

I to by było na tyle. Że nic o panach? Wybaczcie, ale w tej rozgrywce nie macie szans. Jeśli umiecie tańczyć, niekoniecznie jak Travolta, to wystarczy. A poszpanować możecie jedynie w solówce z wężem, małpą lub innym zwierzakiem na ramieniu.

JOLANTA CZYZ

„Głos Muzyczny" przygotowali:
Ewa Moskalówna
i Zbigniew Żukowski
Redakcja techniczna:
Czesław Bartoszewicz